



Wanda Witkomirska

© J. Mularzowski

## Wanda Wiłkomirska - muzykę widzę w kolorach.....

*Sierpniowe wietrzne popołudnie. Przyjechałam do Ośrodka Telewizji Polskiej w Ciechocinku trochę za wcześnie. Lepiej jednak poczekać niż się spóźnić, bo spotkanie z Wandą Wiłkomirską to niezwykle przeżycie. Światowej sławy skrzypaczka prowadzi tutaj warsztaty i zgodziła się na rozmowę. Czekaając na spotkanie wypytuję panią z recepcji o sławnego gościa. "Pani Wanda to wspaniała kobieta. Zawsze uśmiechnięta, miła, zupełnie zwyczajna, a taka znana. I tyle godzin pracuje, aż człowiek się zastanawia skąd ona ma tyle sił". A ja zastanawiam się jak zacząć naszą rozmowę..... Kiedy poproszona wchodzę do saloniku, widzę wstającą od stołu filigranową, kruchą kobietę, która uśmiecha się do mnie. Wyciągam notatki, włączam dyktafon, ubieram okulary i słyszę:*

Gdzie usiądziemy? Może tutaj, żeby było lepiej słyszeć, bo mój starczy głos jest słaby.

*Energicznie zaprzeczam i nie zgadzam się z określeniem „starczy”, wtedy słyszę:  
Dziecko! Panie wie ile ja mam lat?*

*Wiem. Zbliża się Pani Wielki Jubileusz. 11 stycznia 2009 r. w Filharmonii Narodowej odbędzie się uroczysty koncert z okazji Pani 80. tych urodzin. Zagra na nim wielu wspaniałych muzyków: Konstanty Kulka, Kaja Danczowska...*

Starzy ludzie i małe dzieci dodają sobie lat, to takie naturalne. Ja nie miałam czasu, żeby boleśnie odczuwać upływ lat. Nie zauważyłam trzydziestki, czterdziestki. Miałam mnóstwo pracy, podróżowałam, ciągle ćwiczyłam i uczyłam się nowych pozycji. Bardzo źle zniosłam pięćdziesiątkę, bo rozpadło się moje małżeństwo, nic nie było już takie proste. Zdałam sobie sprawę z tego, że przekroczyłam pewną granicę i nie mogę używać już słowa „młoda”. Ale mam świadomość, że udało mi się harmonijnie przechodzić przez kolejne dziesięciolecia. Wracając do jubileuszu. Antoni Wit - dyrektor Filharmonii Narodowej zapytał, jakie mam życzenia. Powiedziałam, że nie chcę, żeby grano Szymanowskiego. Granie go to było dla mnie olśnienie, coś niezwykle intymnego. Napisano kiedyś w recenzji, że gram tak, jakbym kontaktowała się z kompozytorem. A Nigel Kennedy, który przyleciał do Sydney z moją płytą Karłowicza powiedział: „Muszę się tego nauczyć, ale Szymanowskiego - nie, bo tego nikt po Tobie grać nie powinien”. To oczywiście bzdura. Narodził się już ktoś, albo narodzi kto zagra to inaczej, lepiej. Rozstałam się z estradą świadomie. Nie chciałam grać w II lidze. I dlatego nie życzyłam sobie, żeby wykonywano Szymanowskiego. To tak jak z małżeństwem, które się rozpadło. Rozstałam się z mężem, czy to on rozstał się ze mną. Nieważne, ale nie chcę, by przyszedł na moje przyjęcie ze swoją nową żoną. Poprosiłam więc o to, żeby młodzi zagrali dla mnie muzykę kameralną. I wtedy przypomniałam sobie ten *Potrójny Koncert* Beethovena. Antoś się ucieszył,



bo dawno go nie grano. A ja poprosiłam o wykonawcę - Anię Staśkiewicz - to moja faworytka w Polsce od dziecka. Torunianka zresztą. To wielka indywidualność, jest niesłychanie zrównoważona i spokojna. Mam do niej absolutną słabość, bo w grze mnie przypomina. Ale osobowościowo zdecydowanie się różnimy: ja jestem ekstrowertyczna, a ona to typowy introwertyk. Zagra więc dla mnie Ania. Chciałabym, żeby wystąpiło wielu kolegów, ale wtedy koncert byłby za długi, a publiczność pewnie by tego nie wytrzymała.

*Była już Pani „w łonie matki przeznaczona do skrzypiec”. Jako cudowne dziecko pochodzące z muzykującej rodziny musiała Pani grać.*

Jakie cudowne dziecko!

*Zaczęła Pani grać mając 5 lat, a występować w 7 roku życia.*

Dzisiaj młode Koreanki, które uczę, zaczynają grać, kiedy mają 3 lata. Dostają małe skrzypczki, chodzą do Szkoły Suzuki i grają. Australijczycy wrzucają maleńkie dzieci do wody i te muszą pływać. Bociany wypychają młode z gniazda i one lecą. Mnie nikt nie pytał o zdanie - musiałam grać. Ojciec przeznaczył nas na muzyków. Moje pierwsze wspomnienie związane z muzykowaniem jest oczywiście mgliste. Jeden pokój, syczący piecyk gazowy, pianino, ja w koszu na bieliznę. To znam z opowieści mamy, ale pamiętam obraz kogoś grającego nad moją głową. To ojciec ćwiczył na swoich „niemych skrzypcach”. Kolejne wspomnienie to moje



Wanda Wiłkomirska

© J. Maltarzewski

ręce na klawiszach, zadarte wysoko nad głową. Musiałam być jeszcze bardzo malutka, bo wspinałam się na palce.

*Całe Pani życie jest muzyką. Ale czy bez koncertowania nie pojawiło się uczucie „wyznania z raju”?*

Bałam się tego, że pewnego dnia będę szła ulicą i na afiszu nie zobaczę mojego nazwiska. Ale jednocześnie prześladowała mnie myśl, żeby nie zagrać jednego koncertu za dużo.

*Jak w tej smutnej historii o znanej artystce, która nie powinna była już wystąpić z koncertem w Atmie?*

Tak. Niektórzy nie potrafią odejść. Ja nie chciałam spaść z wysokiej półki. I cieszę się kiedy słyszę pytanie: „Pani profesor dlaczego Pani nie gra?” Może właśnie dlatego, żeby mnie o to zapytano. Nie czuję się „wyznana z raju”, bo potrafię cieszyć się i zachwycać muzyką do łez. Niedawno dostałam od studentki komplet płyt mojego bożyszczka, wcale nie skrzypka - Vladimira Horowitza. Miałam to szczęście, że mogłam słyszeć go dwa razy na żywo. To było nie do wiary. Człowiek siedzi, a on zaczyna grać. To, co u innych jest już forte u niego to dopiero początek. I nagle... wali się na mnie tsunami. Jeszcze wtedy nie znałam tego słowa, ale to było to. I on w niewiarygodny sposób zachował to na płytach. Przepadam też za klasycznym jazzem. W Kąsnej zbierała się zawsze śmietanka kolegów. I razem graliśmy. Kiedyś przyjechał



Wanda Wiłkomirska  
podczas Jubileuszu w Filharmonii Narodowej

© J. Ulanowski



Wanda Wiłkomirska podczas  
Jubileuszu w Filharmonii Narodowej

Michał Urbaniak i Leszek Możdżer. Siedziałam i słuchałam jak pięknie grali. Ale później oni słuchali naszych koncertów. To wszystko jest muzyka. Ona jest jedna, tak jak medycyna. Ale przecież leczy nas ginekolog, internista, chirurg....

*Gdyby Pani nie została najwybitniejszą polską skrzypaczką, to kim chciałaby Pani zostać?*

Wolałam grać na fortepianie. Potem marzyłam o balecie. Ojciec nie miał nic przeciwko temu, mogłam chodzić na lekcje tańca. Ale tak naprawdę chciałam zostać aktorką. To mnie prześladowało bardzo długo. Pamiętam kiedy przestałam żałować, że nie wybrałam sceny. Zbliżałam się do czterdziestki. Miałam wtedy bardzo dobry okres. Grając kiedyś koncert Brahmsa, poczułam, że gram go lepiej niż dawniej. I wtedy mój brat - Józef powiedział: „zobacz, jakie to szczęście, że nie jesteś aktorką, bo w tym wieku rola Julii nie byłaby już dla ciebie, zostałaby ci matka Hamleta. Jako skrzypaczka możesz być lepsza niż wtedy, gdy miałas 18 lat”.

Kim bym była? Gdybym nie była solistką, bynajmniej nie zostałabym nauczycielem. Ale w pewnym momencie odkryłam wielką namiętność do uczenia i to mi zastępuje granie. Kiedyś mówiłam, że nigdy nie będę nauczycielem. A teraz: ostatni akord w Australii, samolot i jestem tutaj. To mój trzeci pobyt na warsztatach w Polsce w tym roku. Pracuję w Ciechocinku z dwunastoosobową grupą uczniów, którzy na zakończenie kursu wystąpią z koncertem w Dworku Prezydenckim. Będzie wtedy można usłyszeć jak grają. Ja natomiast cieszę się, że nie żyję już w niewoli ćwiczenia. Zwiedziłam cały świat, ale zawsze patrzyłam na zegarek, bo musiałam iść ćwiczyć. Dziś nie mam uczucia, że muszę. To jest komfort spokojnego życia. Nie ma już tremy. Kiedy byłam młoda, jej nie miałam. Potem się pojawiła. To wynikało z perfekcjonizmu i próżności. Teraz też jestem próżna: chcę, żeby moi uczniowie grali świetnie. Ale kiedy zaczynają się bać, mówię im: „nie musisz zrobić tego genialnie, ale graj pięknie. Tyle od ciebie wymagam”. Gdybym nie przestała koncertować, zostałabym i tak przez artretyzm do tego zmuszona. Przestałam sama, bo chciałam. Teraz też dużo ćwiczę, bo pokazuję uczniom. I cieszę się tym. Cieszę się światem.

*To akceptacja tego, co jest. Ale radość życia to także miłość do ludzi.*

Ja kocham ludzi. Już w dzieciństwie układałam sobie takie wierszyki: „Wszystko umiem, wszystko mogę, mam na wszystko zawsze czas. Każdy dzień uśmiechem witam, więc mnie kocha każdy z was”. Ludzie oddają nam to, co my im daliśmy. Pamiętam kiedy występowałam z Filharmonią Narodową w Paryżu i po koncercie przyszedł do mnie wielki Henryk Szeryng. Zaproponował mi udział w kursie, który prowadził w Nicei. Zostałam, chociaż nie mogłam zapłacić za udział. Potem zarobiłam jakieś pieniądze i chciałam zapłacić. Wtedy usłyszałam: „oddasz młodszemu pokoleniu”. I oddaję. Miałam szczęście w życiu, że robiłam i robię to, co lubię.

*Słucham Pani opowieści i pytanie o spisanie tych historii samo ciśnie się na usta.*

Raczej powinnam nagrywać swoje opowieści. Jakoś je uporządkować, bo jak to wspomnienia, są pokawałkowane. Przez te trzy czwarte wieku wszystko się przemieszało. Tyle zdarzeń - prawda miesza się z legendą.



Portret Wandy Wiłkomirskiej namalowany przez Mariusza Kałdowskiego [www.kaldowskigallery.co.uk](http://www.kaldowskigallery.co.uk) wręczony Maestrze podczas Jubileuszowego Koncertu w Filharmonii Narodowej 11 stycznia 2009 roku.



*Może pomogłyby w tym słynne zeszyty przechowywane w domu w Sydney? To przecież swoisty koncertowy pamiętnik wielkiej skrzypaczki.*

To były zwykłe szkolne zeszyty. Rysowałam w nich rubryki: data, miasto, program, partner, sukienka. Zaczęłam od debiutu w Nowym Jorku.

*W 1961 roku, Carnegie Hall. To ten koncert, na który przyszedł Artur Rubinstein i rozpoczęła się Pani kariera za oceanem.*

Tak. Te sukienki zapisywałam z powodu szczególnej sytuacji, kiedy w Sydney jedna ze słuchaczek po koncercie powiedziała, że trzy lata temu też grałam w zielonej. To nie była ta sama sukienka, ale ona zapamiętała tylko kolor. Potem wpisywałam również bisy. Po zgrzytliwej uwadze krytyka, który po koncercie w Szwajcarii napisał, że grałam po raz drugi ten sam koncert, równie pięknie jak za pierwszym razem i po raz drugi bisowałam tym samym *Kaprysem*. Przystałam zapełniać zeszyty, kiedy zaczęłam mniej koncertować.

*Właściwie na imię ma Pani Jolanta, dopiero na drugie Wanda, na trzecie Alfreda - po ojcu. A co z nazwiskami? Są przecież dwa: Wiłkomirska i Rakowska.*

Jeśli chodzi o imiona to udało mi się zgubić tę Alfredę, ale niestety odnalazła się w moim niemieckim paszporcie. Nazwisko Rakowska zatrzymałam, bo moi synowie je nosili. Nazwisko Wiłkomirska otworzyło mi drogę do kariery i pozostało moim nazwiskiem estradowym.



Wanda Wiłkomirska  
podczas Jubileuszu w Filharmonii Narodowej

Wracając do mojego męża... Był pierwszym człowiekiem, któremu się spodobałam, choć nie wiedział, że byłam już znaną skrzypaczką. To nasze spotkanie to już legenda. Może kiedyś o nim opowiem..... Mąż zawsze traktował mój zawód i moją pracę bardzo poważnie. Nie było nam łatwo: mały pokój, moje ćwiczenie... Oboje nie mieliśmy głowy do interesów. Zaraziłam się od niego wiarą w ideę godnego i dobrego życia dla każdego. Do dziś nie mogę pogodzić się z tym, że jedni mają wszystko, inni nic. Dlatego jak mogę to pomagam. Finansowo wspieram dziecko w Kenii i na Filipinach. Teraz przekazałam pieniądze „Lekarzom bez granic”. Wolę dać każdemu, żeby nie pominąć tego, który naprawdę potrzebuje.

Czego jeszcze Pani nie powiedziała? Co chcę robić. Dojrzewam do odpoczynku. Jestem chwilami bardzo zmęczona, pewne rzeczy robię wolniej niż dawniej. Ale muszę wykonywać je sama. Codziennie robię gimnastykę. Jeszcze potrafię pocałować się w kolano... O, Boże, która jest godzina? Zapomniałam, że na mnie czekają. Mam kolejną lekcję.....

*Moja rozmówczyni szybko zebrała swoje rzeczy, pożegnała się ze mną i zniknęła za drzwiami sali, z której dochodziły ponagłające ją dźwięki skrzypiec. Wsiadłam do samochodu. Ciągle słyszałam grających w swoich pokojach młodych skrzypków. O dziwo, nie dochodziło to do mnie podczas rozmowy. Zafascynowana miałam przed oczami kruchą, delikatną kobietę, która mówiąc o graniu nieświadomie układała dłonie na niewidzialnych skrzypkach i w pewnym momencie powiedziała, że muzykę widzi w kolorach.....*



© Gabriela Utanowska  
gma.art@onet.eu